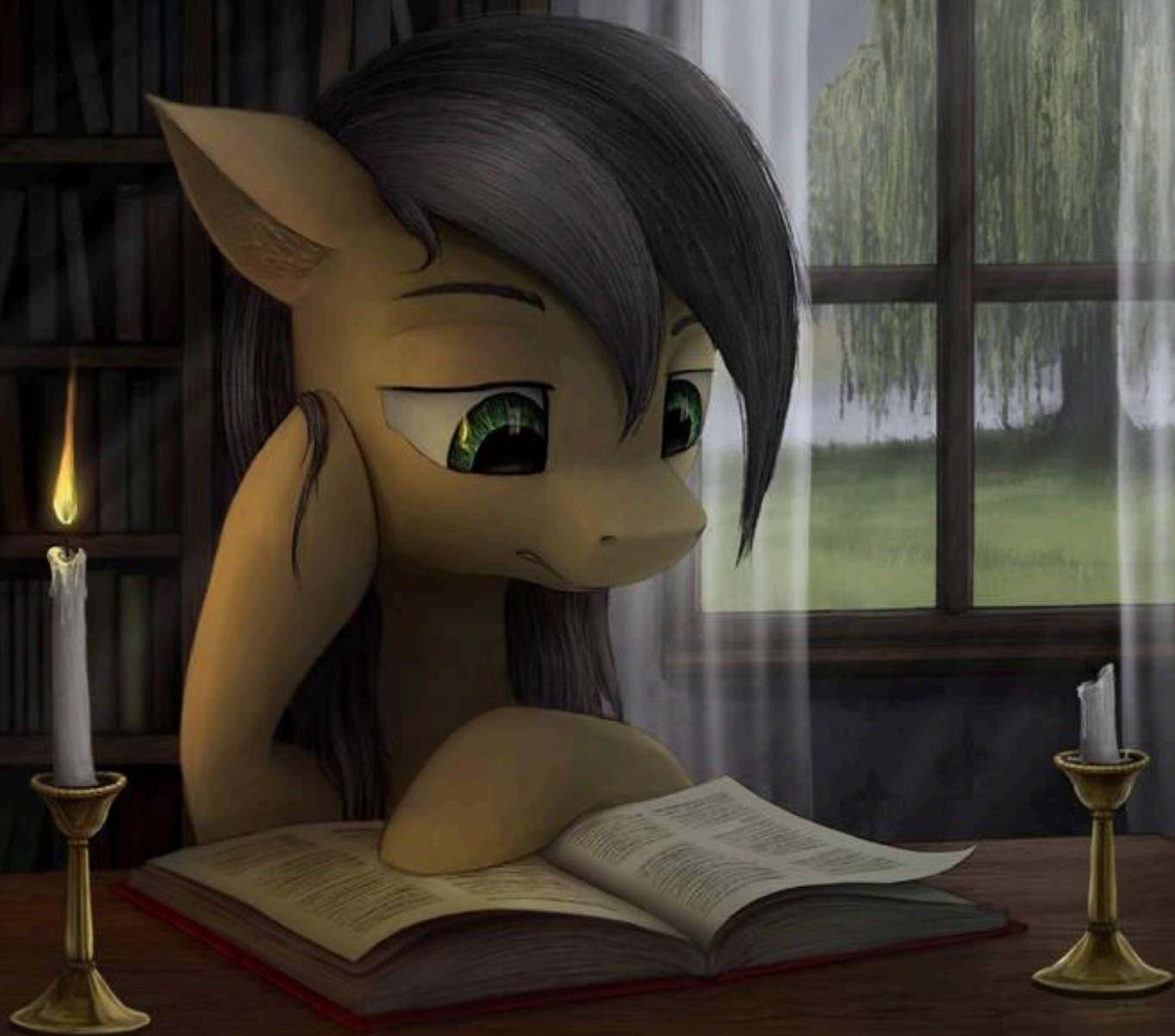


HANDLARZ SŁÓW



Handlarz Słów

Autor: Ziemniakford

Przedczytanka i korekta: Hoffman

Korekta: Cinram

Twórca okładki: Magfen

„Słowa, słowa, słowa.”

~William Szekspir, „Hamlet”

Nigdy nie kłamię

Słowo jedno, słów dwa.

Wszystko.

Wszystko słowa.

Wszystko wokoło słów. Na wszystko i wszędzie musiało być słowo. Każde zjawisko posiadało słowo. Każda najmniejsza rzecz potrzebowała swego określenia. I miało ono nadejść w postaci słowa.

A każde słowo miało swój sens. Owinięte, przerzucone, zakręcone, zagubione słowo.

Nawet na początku było Słowo.

A przecież słowa można różnie rozumieć.

Świat był żyznym miejscem na pola słów. Cały czas powstawały nowe, we wszystkich językach, we wszystkich miejscach.

On od zawsze z wielką chęcią patrzył na słowa, przysłuchiwał się im, wydobywał z nich dźwięki, znaczenia i kolejne, potrzebne mu odpowiedzi.

Zawsze szukał w słowach odpowiedzi. Wiedział, że ta jest gdzieś zaklęta, wśród tysięcy milionów miliardów słów.

Zawsze pragnął tego, o czym inni zapominali.

Tak jak dawniej, gdy jeszcze go nie było.

Obracał słowami, grał, manipulował nimi, wykorzystywał je. Ale przede wszystkim ich słuchał. Każda rozmowa zbliżała go do odpowiedzi. Każda rozmowa dawała mu jej część. Każde kolejne słowo w kolekcji przybliżało go do sobie znanego celu.

Nie bez powodu nazywano go Handlarzem Słów.

I tak też się lubił tytułować.

Potrafił nawet zarobić na odpowiednich słowach w odpowiednim miejscu. Rzadko kiedy zostawał gdzieś na dłużej, niż trzy dni.

Miał parę pięknych marzeń, zebrał dwa piękne sny o nowym wspaniałym świecie, dumiał też nad cudowną przyszłością.

Jednak nikt poza nim ich nie znał, nikomu ich nie zdradził. A szkoda, bo były to piękne wizje świata. Na pewno nosząc je, uniwersum byłoby bardziej kolorowe, bogatsze o czerwień krwi przelanej w imię cudownych marzeń.

Szedł obecnie obok wielkich pól, należących do jakichś tam właścicieli. Sowiec padał deszcz, parł więc do przodu z wyjętym, rozwiniętym parasolem. Ten chronił niebo przed jego widokiem, zapobiegał, by nieostrożne krople na niego nie spadły. Bronił niebo, a nie siebie. On tego nie potrzebował, oddalony był wszakże od miejsca, w którym przyszło mu być ciałem.

Jednak z radością z nimi tańczył, omijał je w balecie, idąc spokojnie miarowym rytmem, wytyczanym przez melodie, której nikt inny nie słyszał.

Dawno było po okresie żniw, opadły już liście z drzew. Na polach nie było żadnego kuczka, nikt przy nich nie pracował. Jakby zostały porzucone. Przychodził zmierzch ze swą delikatną, nocną melodią. Krople deszczu intensywnie atakowały ziemię z nieba, bombardując ją z całą mocą. Lecz podłoże nie ugięło się pod intensywnymi opadami. Nadal stało tam, gdzie zawsze, będąc podporą wobec wszystkiego, co na nim stoi. Dawne przyzwyczajenia nie pozwalały schować się przed deszczem, albowiem wszystko toczyło się wokół tego, by nie było zadość nicości.

Piękny szary stan dnia pielęgnował depresyjne myśli, zbierające swoje żniwa niezależnie od pory roku. Powoli wzrastały, podlewane monotonią cudownej codzienności, zapisanej tak niemrawo w historii, zupełnie jakby się nie liczyła, jakby nie istniało nic prócz tych wielkich zdarzeń, tak ważnych dla świata.

A przecież nie otaczają nas same wielkie zdarzenia, a właśnie świat i małe przypadki.

Zostawiał za sobą ślady na zabłoconej drodze, które szybko zalewały się wodą, cały czas jej przybywało. Zdawało się, że chciała zalać całą planetę, aż po wierzchołek najwyższej góry, aż do najgłębszego dołu. Jednak nawet gdyby tego pragnęła, nie miała dość siły. Siły i determinacji. Tak niezbędnych podczas wykonywania rzeczy wielkich.

Pożegnał ojczyznę wiatr, poleciał w siną dal. Pozdrowił się ze strachem w sercu i ruszył w obczyznę, tak daleką, tak piękną, tak straszną. Późna jesień zatańczyła z jego pomocą liścianego walca, tak kolorowego i jednolitego w swej oschłości. Wiecznie kochał matkę i ojca. Tęsknił za nimi, będąc daleko poza domem, przed którym tak uparcie uciekał. Wiał i wiał, płacząc i niosąc swą tęskną pieśń, krzycząc i dusząc się, pełen powietrza.

Tak umierała cisza na rzecz potężnych słów w niej niknącej.

Zasiadł blisko kominka, choć nie dlatego, że było mu zimno, a raczej dlatego, że tam zawsze najwięcej słychać.

Słuchał.

– Kolejny dzień, brudna jesienna pogoda... Idzie się przygnębić. Mam nadzieję, że pegazy wkrótce dadzą nam dzień złotej jesieni – mówił do przyjaciela jeden z kucyków, siedzący przy bliskim stole.

– Wiesz, że nie w tym tygodniu – zaczął mówić mu drugi. – Prognoza tygodniowa rzadko kiedy się zmienia, więc najwcześniej za tydzień...

Słuchał uważnie, choć średnio go to interesowało. Wokoło rozmawiało dużo kucyków, ale skupił się właśnie na tej rozmowie, nieistotnej i bez znaczenia.

Jadł powoli zupę pomidorową, patrzył jak tańczą płomienie w kominku na truchłach dawno martwych drzew, spokojnie niegdyś rosnących.

Taniec ten przypominał mu dawne czasy, sprzed pewnych wydarzeń w jego życiu. Sprzed pewnych pamiętnych słów...

„Słowa.” powiedział sobie w myślach. *„Chyba od zawsze ze mną były.”*

Zawsze...

– Zawsze mnie to irytowało! Ja rozumiem, że nie można robić pogody pod jednego kucyka, a trzeba pod potrzeby natury i ogółu – uniósł się pierwszy rozmówca. – Ale na litość, czy potrzebą natury i ogółu obecnie jest, by padało od dwóch tygodni z niewielkimi przerwami?

– Nie tobie i nie mnie to oceniać – odpowiedział dyplomatycznie drugi.

– Nie nam? Może i nie nam. Ale naprawdę, czy nie można było ustawić tego tak, że...

– Wiem, do czego zmierzasz i od razu odpowiem: nie – przerwał mu drugi. – Przyroda tak nie działa. Potrzebuje delikatnego Słońca i delikatnego deszczu, a nie upałów i ulew.

Pierwszy na to ucichł, jednak widać było po nim, że myślał nad, tym co usłyszał.

„Czyli będzie jeszcze padać. Dobrze wiedzieć” uznał w myślach Handlarz.

Patrzył na resztę lokalu.

„Kto jeszcze może powiedzieć parę ciekawych słów?”

Spojrzał na siedzącą obok klacz, która smętnie patrzyła w ogień i bawiła się swoją grzywą przy pomocy magii.

„Nie...”

Obserwował dyskretnie lokal, zając się zupą. Zauważył wzrokiem trzy wesołe kucyki, siedzące razem przy stole, dosyć niedaleko.

„Hm... może...”

Spojrzał na ruch ich ust i wyodrębnił głosy spośród kakofonii hałasów. Miał na uwadze emocje i uczucia wymalowane na ich pyszczkach, tak widoczne przez oczy, a tak głęboko ukryte w duszy i sercu.

– ...dobrze, że ci się udało! – pegazica pochwaliła jednorożca. – Szczere gratulacje!

– Uwierz mi, też się cieszę, że już po wszystkim. I to tak szybko! Szukałem pracy zaledwie dwa tygodnie! – Uśmiechnął się radośnie, wypił łyk piwa z kufla. – Zaczynam za dwa dni. Mam nadzieję, że nic się nie zmieni i oferta ze stacji kolejowej nadal będzie aktualna. Będę musiał wstawać wcześniej niż się spodziewałem...

„Czyli jest tu stacja kolejowa, oddalona od miasta w dodatku...” Wywnioskował po czasie, jaki podał jednorożec. *„Może skorzystam z pociągu? Dawno nie jeździłem...”*

Zaczął szukać wzrokiem kolejnej rozmowy... Kolejnych słów do kolekcji.

Przy ladzie z barmanką rozmawiała zebra. Widać było, że miała pewne trudności z językiem.

„To może być ciekawe...”

Pomyślał, po czym dokończył zupę.

– Eee... poootrzebje... – mówiła męskim głosem zebra, z niepewnością do swej znajomości equestriańskiego. – Muszę... chcę, o, chcę! wiedzieć... gdzie mogą... prze... za... spać? – kończyła z trudnością.

Barmanka cierpliwie wysłuchiwała do końca.

– Popytaj po domach, dużo jest tu gościnnych kucyków. Hotelu ani niczego podobnego tu nie ma, to nie jest ani duże, ani znane miasteczko.

Gość z dalekich krain uważnie słuchał, skupiając się na każdym słowie, jednak chyba zrozumiał sens.

– Dziękuję... – odpowiedział tak miłym głosem, że aż był on poniekąd niegrzeczny.

Pasiasty ogier odszedł od lady, obejrzał resztę wnętrza budynku, po czym z lekkim wahaniem podszedł do kominka, siadając przy naszym protagoniście.

– Witam – przywitał się Handlarz.

– Dzień... dobry wieczór – poprawił się szybko obcokrajowiec.

– Co porabia zebra tak niemiłosiernie blisko granicy z Kryształowym Królestwem? To raczej nie są ci znane i lubiane przez ciebie zebrze, ciepłe klimaty – zapytał z ciekawością.

– Eee... to by... była... jest... ech... – ucichł pasiasty podróżny, próbując zebrać myśli.

Handlarzowi znudziła się ta zabawa, więc postanowił ulitować się nad zebłą. Ponowił pytanie, tym razem w jej ojczystym języku.

– Off... Mogłeś od razu zapytać w moim języku, nie marnowałbym wtedy myśli w mętliku – powiedział lekko zaskoczony obcokrajowiec.¹

– Mogłem, ale chciałem usłyszeć czy dasz sobie radę z większą ilością piękniejszych słów. W gruncie rzeczy, przecież piękno języka polega na pokonywaniu ograniczeń naszych głów.

– Mój equestriański to poziom wystarczający na absolutne podstawy, dla mnie nie było w tym żadnej zabawy – mówił powoli egzotyczny nieznajomy. – A co tu robię, zwłaszcza z taką znajomością języka? Cóż, sprawy osobiste. Zegar bardzo szybko tyka. Muszę przybyć aż do dalekiej Kryształowej Stolicy, niestety choroba lokomocyjna zabiera mnie do lecznicy, gdy tylko próbuję jechać koleją, niech wątki ci się szybko kleją. Zatrzymam się tu na paręnaście dni, musiałem poprosić o coś, z czego w moim kraju się kpi. Lokalny krawiec wykona mi ubrania zimowe. Będą więc z pierwszego kopyta, ciepłe i nowe. W moim ojczystym kraju takich nie sprzedają, bo po prostu potrzeby kupna nie mają. Podczas wędrówki niestety okazji nie było, ale na tym na szczęście się nie skończyło – zakończył.

Kucyk przez chwilę się zastanawiał nad tym, co usłyszał.

– Daleką drogę musiałeś przebyć, pasiasty przyjacielu i to jeszcze na własnych nogach, cierpliwie dążąc do celu – powiedział z uznaniem. Mimo iż sam często podróżował, szanował innych podróżników. – Musisz mieć naprawdę ważny powód, by podróżować taki kawał drogi. Narazasz się bardzo, mam nadzieję, że doniosą cię nogi.

– Oj, ważny, ważny podróżniku. Ale nadziei u mnie bez liku – przyznała zebra. – Skąd tak dobrze znasz język stada mojego? Jego nauka to dużo trudu dla kogoś obcego.

Ogier uśmiechnął się pod nosem.

– Znam. Nie pytaj, bo nie uwierzysz. Po prostu znam. Nie pytaj, bo uznania do mnie nie zmierzysz – odpowiedział z umiarem.

– Cóż, uznaję prawo do tajemnic twoje, tak jak ty uznajesz moje. Miło usłyszeć coś w ojczystej mowie, Equestriański robi mi mętlik w głowie. Nazywam się Zaithehl, towarzyszu mój. Jak możesz, zdradź tytuł swój – przedstawił się.

¹ Kwestie postaci od razu są „przetłumaczone” z zachowaniem rymu. Co do jego braku w equestriańskim Zaithehlu – na litość, ledwo zna obcy język.

– Na mnie mówią Handlarz Słów, kłaniam się od kopyt do głów. Me imię ciężko się tłumaczy w twoim języku, choć nie wiem czy nie psuje w nim szyku – odwzajemnił przywitanie.

– Zaszczytne miano, a szyku nie psujesz. W mojej ojczyźnie... – zaczął.

– ... jest miłość do słowa, którą szanujesz. Każde posiada wedle waszej wiary swoje serce i duszę. Więcej w tej kwestii dodawać chyba nie muszę. Dlatego staracie się mówić rymami, by uszanować to, co gra między słowami.

Zebra patrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Jestem pod wrażeniem, że znasz nasze obyczaje. Powoli zaczynam rozumieć z jakim kucykiem teraz przystaje.

– Znam dużo więcej rzeczy, nikt temu nie zaprzeczy – tajemniczo zakończył wątek Handlarz.

Zagrały trąby hymn niebiański, zastając na ziemi pożogę dnia dzisiejszego. Wystraszone przestały grać, uciekając do bezpiecznej pustki nieładu. Paliły za sobą mosty, które nazajutrz miały odbudować, by znów pełne nadziei danej im przez Stwórcę, przekonać się, że nic więcej nie zobaczą na tym świecie.

Zaakceptowały otchłanie piekielne i najpotężniejsze demony, że rozgrywka z codziennością jest trudna i wymagająca lecz możliwa do zwyciężenia. Na równi z niebiosami nie poddawały się, umacniając swe twierdze, codziennie burzone naporem znudzenia.

A ziemia żyła swoją codziennością z dnia na dzień, cały czas pełna życia i energii, tak skutecznie uciekającej. Spokojnie trwała od poranka do nocy, od Księżyca do Słońca, z każdą chwilą marząc o przyszłej wielkości, która nigdy nie nadchodziła. Pamiętała o tym, co było, choć niezbyt dużo się przez całe jej życie zmieniło.

Wyszedł w końcu z budynku, w którym tak wiele usłyszał. Delektował się smakiem niedawno zasłyszanych rozmów. Kierował się w tylko sobie znaną stronę. A raczej znaną ze słów.

Było późne popołudnie, czas jednak nie zamierzał się zatrzymywać. Ciągle szedł do przodu, w przeciwieństwie do wielu kucyków. Czas zawsze miał do nich poszanowanie, choćby był przez nie marnotrawiony. Zawsze dawał co mógł, choć powoli i restrykcyjnie. A przede wszystkim równo każdemu. Bez sprawiedliwości i uwzględnienia indywidualnych potrzeb.

On szedł powolnym krokiem, kulturalnie i spokojnie, co parę chwil patrząc na miasteczko. Cenił bardziej dźwięki od obrazu, ale potrafił ujrzeć prawdę oczami. Doceniał piękno sztuk wizualnych. Choć, jak sam często mówił, niezbyt je rozumiał.

Uwielbiał dźwięk. Nie mógłby bez niego żyć. Mówienie, że cisza jest cenniejsza od mowy, było dla niego częstą gadaniną, a w dodatku hipokryzją w najczystszej postaci.

„Bo skoro mi to mówisz, to już urażasz swą najświętszą ciszę...” przebiegło mu przez myśl.

I dyskretnie rozejrzał się.

I delikatnie rozplakał się.

I znów zaczął iść, gdzieś do przodu, gdzie nie sięgał wzrok, gdzie nie sięgał słuch.

Towarzyszył mu rozłożony nad nim parasol, nierozłączny przyjaciel, chroniący przed nim niebo. Chociaż chwilowo nie padało.

Czasem chciał tańczyć i grać, czasem słuchać i siedzieć, rozmawiając z rozwagą tylko ze starymi przyjaciółmi.

„Co bez słów wart by był świat?”

Zabalowały w jego głowie nuty, słowa i krew. Zamarzyło mu się, że latać chce. A poleciałby tam, gdzie nie ma barw, są tylko słowa.

Uśmiechnął się pod nosem na tę myśl.

„Tu już jest cudownie. Lepsze wrogiem dobrego. To tak piękny świat, że aż słów mi brak.”

Dalej szedł swym spokojnym krokiem.

Oto i jego cel. Rezydencja, o której trochę mówiono, lecz nic złego, nic o straszeniu, nic o koszmarach. Była zadbana, wraz z przyległymi ogrodami. Widać było, że ktoś w niej żyje i mieszka.

Podszedł do bramy, która była pilnowana przez dwóch ochroniarzy.

– Witajcie – powiedział grzecznie i z szacunkiem. – Czy moglibyście zapowiedzieć mnie swemu pracodawcy?

Oni spojrzeli na niego krzywym wzrokiem.

– Witaj, witaj... – odpowiedział jeden niechętnie. – Tak po prostu zjawiasz się tu i prosisz o wizytę u właściciela tej posiadłości? – zapytał retorycznie, głosem pełnym ironii.

– A cóż to, czyż wzrok i słuch tyś stracił? Nie widać tego? Nie słyszysz pytań zadanych? – zagrał Handlarz. – Cóż, słyszałem, że w miasteczku jest okulista, może on panu dopomo...

Stróż nie zamierzał się jednak dalej bawić.

– Widać. Lepiej proszę się przedstawić i powiedzieć powód, dla którego pan chce się widzieć z naszym pracodawcą.

Jednak Handlarz nie dawał za wygraną.

– Skoro tak dobrze pan widzi, powinien pan zauważyć i to – powiedział uprzejmie i z szacunkiem, jakby chciał oddać hołd jego spojrzeniu.

Strażnik powoli tracił cierpliwość.

– Na razie widzę tyle, że dyskutujemy nadaremno. Proszę przestać się bawić i przejść do konkretów.

– Słowem za słowo – powiedział śmiertelnie poważnie. – Cóż, mówią na mnie różnie, niewielu zna moje imię. Rezerwuję je dla przyjaciół – mówił z uśmiechem. – Ale proszę mnie przedstawić jako Handlarz Słów. A cel wizyty? Chcę zaoferować swe usługi.

Oni patrzyli na niego coraz bardziej znudzeni.

– No dobrze. A co pan może zaoferować?

– To zazwyczaj sprawa między mną, a zleceniodawcą. Jednak wachlarz usług mam szeroki. Od zwykłych informacji, do tych niezwykłych, od rozwiązywania zagadki, do ich robienia, od odkrywania, do ukrywania. Lista kończy się przy prośbach typu: uczynić mnie nieśmiertelnym – powiedział z pietyzmem i energią.

– Ech, niech ci będzie. Ale prosimy nie oczekiwać szybkiej wizyty.

Jeden ze strażników już miał się oddalić i pójść zapowiadać gościa.

– Ja prosiłem tylko o zapowiedź. Wizyta odbędzie się, kiedy będzie trzeba.

– Czyli kiedy?

– Kiedy będzie trzeba – odpowiedział jeszcze raz twardo. – Choćby zaraz, jeśli będzie taka potrzeba.

– A może już jest? – zapytał retorycznie drugi ze stróży.

– Nie ma. Wiedziałbym.

– Po czym?

– Wiem dużo rzeczy – odpowiedział uprzejmie. – Nie pytasz pegaza czemu lata, ani jednorożca jak używa magii, ani kucyka ziemnego skąd jest tak silny. Wiem chociażby, że nie do końca uczciwie dostałeś tę posadę. Prawda, Rouge Mole? – Spojrzał mocnym wzrokiem na ogiera, który miał iść go zapowiedzieć.

– C-co? – zapytał, czując niepokój. – S-ską... – chciał pytać dalej. Przerwał mu drugi ochroniarz.

– Nieuczciwie? To jeden z najuczciwszych kucyków jakie znam! – oburzył się drugi strażnik posiadłości w jego obronie.

– Och, doprawdy, Winged, wiesz doskonale, że dwa dni temu nie powiedział ci całej prawdy. Wiesz, że niezdarnie ukrył przed tobą fakt o braku tej butelki. Wiesz o tym, wiesz.

Strażnicy zaczęli lekko się bać, spojrzeli w niebo, modląc się o łaskę.

– Podamy najbliższy termin, może... być? – chciał powiedzieć jeden. Lecz gdy tylko opuścił głowę, nie ujrzał tajemniczego przybysza.

Stali chwilę skołowani.

– Zapowiadamy go?

– Mam inne pytanie. Skąd wiesz o tej butelce?

– To nie było trudne...

Jednorożec siedział na końcu stołu, zając się sałatką owocową, blisko kominka, z którego buchały piekielne płomienie, mile podlizujące się swym ciepłem, kuszące swym blaskiem, ale grożące spaleniem wszystkiego, czego dane im będzie dotknąć. Kryształowy żyrandol wisiał nad stołem, oświetlając całe pomieszczenie swym jakże nieczystym światłem. Jego serce już dawno zaginęło na odpuszcie dla kamiennych serc.

Spojrzał ostro na swoją córkę, jedyną spadkobierczynię. Zmierzył ją wzrokiem, od jej lśniącej złotej grzywy, przez piękne, srebrne oczy, po białą sierść, do znaczka, którego właściwie nie było. Wiedział, że coś ukrywa.

– Córeczko kochana – powiedział do niej, przerywając jedzenie. – Powiedz mi, co dręczy twe myśli?

– Cóż... – zaczęła niepewnie swym szklistym głosem. – Aktualnie nic, co mogłoby cię interesować...

Ojciec spojrzał poważnie na swą pierworodną.

– Wiesz, że wszystko, co cię dotyczy, mnie interesuje. Jeśli masz jakieś problemy, to powiedz. W miarę możliwości postaram się pomóc – zadeklarował ze szczerym sercem.

Skwierczały ognie w tle tej rozmowy. Zza okien przebijało się Słońce, złocistymi promieniami oświetlając pyszczek klaczy.

Patrzyła nieobecny wzrokiem na ojca swymi perlistymi oczami, zamruwała, a jej rzęsy odegrały malutką melodyjkę piękna, niesłyszalną dla nikogo innego.

– Nie... Nie trzeba... – powiedziała niepewnie. – Wybacz, nie jestem głodna. Pójdę już do swego pokoju – rzekła, po czym wstała, zostawiając prawie nietknięty obiad.

Zaczęła powoli się oddalać dystynktywnym krokiem.

– Zaczekaj. – Wstał i jej ojciec. Podeszedł do niej szybko, a ona obróciła się w jego stronę.

– T-tak? – zapytała, jakby była przestraszona.

Położył kopytko na jej barku.

– Jak coś... powiedz... – chciał mówić, lecz zbyt nie wiedział jak i co.

– Dobrze... – odpowiedziała mu z ulgą.

Chciała już odejść, lecz jej tata jeszcze zdążył ją do siebie przytulić.

– D-dziękuję... – powiedziała zdziwiona.

Gdy tylko ogier zwolnił uścisk, pobiegła. Jednorożec wrócił na swoje miejsce. Wpatrywał się pustym wzrokiem w ogień, oczekując, że ten coś mu podpowie.

Lecz on tylko płonął i płonął, chciwie chłonąc drewno i powietrze. Miał ochotę na więcej, lecz wstrzymywał się.

– Ech... Co ja mam z nią zrobić? – zadał sobie na głos pytanie.

Ogień przestał się wstrzymywać, gdy poczuł zew nowej energii, nagle buchnął potężnie w górę kominka, płomienie niemal wydostawały się z niego. Dym przykrył sufit, zaciemniając całe pomieszczenie. Ogier patrzył z przerażeniem, miał już uciekać, gdy płomienie wypaliły całe drewno, a z popiołów i dymu zaczął formować się kucyk.

– Co do...!

W końcu proces dobiegł końca, w iście cichy sposób.

– Witam szanownego pana! Mam nadzieję, że pańscy, niewątpliwie wybitnie utalentowani ochroniarze zdołali mnie zapowiedzieć – powiedział kucyk, zrodzony niby feniks z parasolką niesioną w kopytach, skierowaną za siebie i rozpostartą.

Jednorożec patrzył z przerażeniem i zdziwieniem na to, co się stało.

– Czyli nie. Cóż, nie wyglądali na głupców... Czyli jeszcze gorzej, ignoranci... albo zapomnieli, też niewykluczone... – powiedział do siebie smutno pod nosem. – No nic, nie zostaje mi więcej, niż przeprosić za ich zachowanie, a samemu się przedstawić. – Skłonił się w jego stronę z całą swą elegancją, składając parasolkę. – Handlarz Słów.

Drugi ogier oddychał szybko, mrugając co jakiś czas, jakby nie wierzył własnym oczom. Zresztą trudno było mu się dziwić.

W końcu po pięciu minutach ciszy, patrząc cały czas z niedowierzaniem, zdołał się uspokoić. Szybko wkradła się w niego złość, ale i ciekawość. Na razie nie chciał tłumaczyć sobie swojej wściekłości, a jedynie ją wyładować.

– Co tu robisz, kim ty jesteś i czemu nic mi o tobie nie wiadomo?! – zadawał z rosnącą irytacją kolejne pytania, nie bacząc na swój wcześniejszy strach.

Handlarz uśmiechnął się, wstając.

– Cóż, przedstawić się, przedstawiłem. Nic ci o mnie nie wiadomo? To akurat dość ciekawe. Widać przy granicy wieści zawsze są w stanie zawieszenia – powiedział, notując sobie w głowie. – Może nie wiesz, ale się dowiesz. A co tu robię? Chcę zaoferować swoje usługi.

– Jakie niby usługi? I jak się tu dostałeś?! – zadawał kolejne pytania, coraz bardziej wściekły jednorożec. Płomienie z kominka wygasły i przemieniły się w jego irytację, która coraz bardziej buchała z ciała, chcąc spalić je tak samo, jak wcześniej drewno.

– Cóż, jak widzisz, nie jestem jednorożcem, lecz nie praktykuję magii w postaci wam znanej. Mam własne sposoby, oczywiście nie bez pomocy przyjaciół, na takie wejścia. A co mogę zaoferować? – zapytał retorycznie, po czym chwilę się zastanowił.

Stał cicho przez parę sekund i dopiero po tym czasie znalazł odpowiednią odpowiedź.

– To zależy od ciebie. Często udzielam informacji, czasem narobię szumu, czasem coś odszumię... Czasem dotrę do czegoś, czasem pomogę coś zgubić, czasem jestem po to, by być. Zależy od ciebie. Z tego, co słyszałem, masz problem z córką. Mogę go rozwiązać, lub zaledwie w tym pomóc, albo pogłębić go, jeśli jakimś cudem tego pragniesz. Mogę znaleźć jego przyczyny, mogę je głęboko zakopać. Mogę ukryć gdzieś te wieści, albo mogę je rozpowszechnić. Mogę nawet sprawić, by problem zniknął jednostronnie – odpowiedział długim wywodem.

Jednorożec trawił przez chwilę jego słowa. Chodził ostrym krokiem od kąta do kąta. W końcu usiadł przy stole. Odetchnął głęboko.

– Mówisz, że ochrona powinna mi powiedzieć o twoim przybyciu? – zapytał podejrzliwie, ukrywając wściekłość.

– Chcesz, to możemy się do nich przejść i się o mnie dopytać – zaproponował grzecznie.

– Nie trzeba... Rozmówię się z nimi – rzekł, po czym napił się wody ze szklanki. – Ech... No dobrze, jesteś tu jako gość, choć *niezapowiedziany* – podkreślił ostatnie słowo. – Usiądź przy stole, nie wypada przyjmować gości bez posiłku – zaprosił go ogier.

– Dziękuję serdecznie – skłonił się w podzięcie Handlarz, po czym przysiadł się po lewicy jednorożca, naprzeciw miejsca, gdzie siedziała jego córka.

Jednorożec spojrzał na to z przymrużeniem oka. Nagle zdał sobie z czegoś sprawę.

– Czemu służba mnie... nas nie usłyszała?

– Och, doprawdy... Czy to jest aż takie ważne, w obliczu innych rzeczy? – zapytał retorycznie w odpowiedzi. – Powiedzmy, że mam swoje sposoby, głównie dzięki przyjaciółom i wiedzy... W tym akurat pomógł mi mój dobry przyjaciel, Mag z Gwarnego Miasta, tu nieznan, a w swym świecie znany jako Kronikarz. Równie potężna, co tragiczna postać. Jak wszyscy moi przyjaciele, łącznie ze mną – dokończył smutno i dumnie.

– Kronikarz? – odrzekł zaniepokojony, choć nadal zirytowany jednorożec. – Zresztą, pytania na później. Wybacz mi wściekłość... W sumie nawet nie wiem, jak potrafiłem osiągnąć taki stan, po byciu absolutnie przerażonym... Mniejsza... Najpierw trzeba zawołać służbę, by dała ci chociaż sałatę letnią do zjedzenia! – powiedział raźnie, zapominając o strachu, irytacji i ciekawości. – Służba! – zawołał swym głosem.

Otworzywszy jedną z par drzwi, od strony ściany na prawo od Handlarza, wbiegł po chwili kamerdyner.

– Jestem na twoje rozkazy, panie – zaczął miłym tonem, kłaniając się. – Jeśli można wiedzieć, kto zaszczycił pana swoją obecnością? – zapytał grzecznie, nawet kątem oka nie patrząc na nieznajomego sobie ogiera. Utrzymywał sztuczny wyraz pyszczka.

– Cóż, przedstawił się jako Handlarz Słów. Nie wiem kim jest, pojawił się nagle, ale w gruncie rzeczy jest gościem. A w poszanowaniu do equestriańskiej tradycji, wszelkim gościom trzeba podać strawę i napitek należny ich godności – powiedział podniośle, acz rozkazującym tonem.

– Oczywiście.

Kamerdyner wstał, cofnął się i zniknął za zamkniętymi drzwiami.

– A teraz, gdy niedługo doczekasz się posiłku, opowiedz mi najpierw o so... – zaczął, lecz szybko zdał sobie z czegoś sprawę. Nie przedstawił się. – Och, wybacz. Zapomniałbym.

Pewnie wiesz kim jestem, lecz nie wypada samemu się nie przedstawić. – Wstał od stołu. – Jestem Hrabia Wonderful – zaczął mówić oficjalnym tonem. Zajęło mu to trochę, lecz wreszcie usiadł. – Wracając... Osoba, która ma takich przyjaciół, takie zdolności i wiedzę, musi mieć dużo do opowiedzenia – rzekł pytającym tonem zainteresowany jednorożec.

Handlarz spojrzał na niego poważnie. Badał jego słowa, ważąc to, co chce usłyszeć, a także to, o co pyta. W końcu w jego oczach ułożył się sensowny obraz odpowiedzi.

– Cóż, istnieją rzeczy, które pozostają skryte nawet przede mną. Jest tylko jeden kucyk, który ma większą wiedzę ode mnie, i parę, które się ze mną w tej kwestii równają. Wszystkie te kucyki są moimi przyjaciółmi... Tak, przyjaciółmi... – powiedział z melancholią.

Jednorożec nie został obojętny wobec jego uczucia.

– Coś się stało? – zapytał z troską, choć nadal w jego głosie słychać było echa dawno wygasłej wściekłości.

Handlarz podparł głowę o parasolkę, spojrzał na jednorożca z brakiem uwagi. Przez myśli przebiegły tysiące słów, lecz żadne nie oddawały tego, co czuł.

– Nie, nic... Po prostu odnoszę wrażenie... jakby to ująć... że... Słowo „przyjaciół” straciło swój dawny sens. Trochę za tym tęsknię. Kiedyś było głębsze, miało więcej do powiedzenia. Kiedyś przyjaciel był kimś, kto wiedział, kiedy się z tobą spotkać, czego potrzebujesz i czemu jesteś w takim stanie. Dziś przyjaciel to tylko nieco lepszy znajomy – mówił ze smutkiem – jakby w ogóle słowa z roku na rok traciły na znaczeniu...

– Rozumiem, że to dla pana ważne? – zapytał jednorożec, siląc się na przyjazny ton.

– Oczywiście... No, ale dość o tym. Czy ma pan do mnie jeszcze jakieś pytania?

– Ależ jak najbardziej. Jest pan wielce intrygującą postacią. Nawet jeśli pan zmyśla...

Handlarz wstał z gniewem w oczach, patrząc na jednorożca groźnie, niby pożerając wzrokiem jego postać.

– **NIE ZNIŻAM SIĘ DO KŁAMSTW** – odrzekł głosem tak potężnym, aż zabrzęczały szyby, a jego postać jakby urosła na tle pomieszczenia. – Nie po to tysiąc trzysta dwadzieścia siedem lat spędziłem na zgłębianiu sztuki słów, na kręceniu, żonglowaniu nimi, na manipulacji, na sztukach retoryki i perswazji, nie po to, by zniżyć się do podłych kłamstw tanich sprzedawczyków – dokończył gniewnie.

Jednorożec znów się przestraszył. Poczuł to całym sobą.

– P-przepraszam! – zaskomlał zatrwożony.

Handlarz spojrzał na niego nieco łaskawiej i usiadł z powrotem.

– Niech nigdy więcej w życiu nie sugeruje pan, że mógłbym kłamać. Bo będzie to ostatnia insynuacja, jaką będzie panu dane wypowiedzieć – dodał ze śmiertelną powagą, a drugi ogier poczuł na swej szyi dotyk ostrza, którego nigdzie nie było.

– T-ta...

Nie zdążył powiedzieć, gdyż w tym momencie do pokoju wraz z pokojówką wszedł kamerdyner, przynosząc gościowi strawę. Był to pełnoprawny obiad, od paru sałatek, po zupę i kartofle.

– Dziękuję serdecznie – powiedział kulturalnie kucyk ziemski, po czym skinął im głową.

– Czy pragnie pan czegoś jeszcze? – zapytał kamerdyner, zwracając się do jednoroźca.

Ten spojrzał na niego przerażony.

– Coś się stało? – dopytał służący.

– N-nie... możecie odejść.

– Jak pan sobie życzy – odpowiedział, po czym wraz z pokojówką wyszedł z pomieszczenia.

Ogier musiał wziąć jeszcze parę głębokich wdechów.

– No dobrze... – zastanowił się gospodarz.

Handlarz bez pośpiechu delektował się posiłkiem, choć jadł z umiarem.

– Dość pytań... – stwierdził wreszcie jednorożec. – Wracając... Jak pan powiedział i jak sam z ostatnich przeżyć wiem – zaczął mówić – mam problemy z córką... Ona coś ukrywa, prawdopodobnie coś dla niej wstydliwego. Nie wiem, czy jest winna czemuś, lecz zdecydowanie chce o czymś zapomnieć – starał się mówić pokrótce. – Choć jest to wielce nieodpowiednie z mojej strony, prosić o to kogoś obcego, zwłaszcza, że to ciężkie dla mojej córeczki... mógłby pan dowiedzieć się, o co chodzi? – poprosił grzecznie. – Chcę jej pomóc, a niestety bez wiedzy o tym, co ukrywa, jest to niemożliwe – wyjaśnił oczywistość.

Handlarz dokończył obiad, wytarł chustką pyszczek, po czym powoli zaczął mówić swym zwykłym głosem.

– Zrobię co w mojej mocy. Podejrzewam, że od samej córki niewiele się dowiem, a dyskrecja stanowi wysoki priorytet... Wstępnie ustalam cenę na tysiąc dwieście, z czego z góry biorę pięćset. Na przekupstwa i własne potrzeby – powiedział biznesową, zwięzłą mową. – Drugiej części nie płacisz, jeżeli mi się nie powiedzie. Połowę zaliczki mogę, choć nie jestem do tego zobowiązany, zwrócić, jeśli uznam to za słuszne, o ile nadal będę mieć te pieniądze.

Jednorożec rozważał w głowie koszty, ryzyko, ale także możliwy zysk. Decyzję podjął dopiero, gdy w głowie pojawiła się ta jedna, kluczowa myśl.

„Przecież tu chodzi o moją kochaną jedynaczkę!”

– Dobrze... – powiedział po chwili gospodarz. – Służba! – zawołał.

Po chwili do sali powrócił kamerdyner.

– Tak, panie? – zapytał z poszanowaniem.

– Przynieś mi tutaj czek...

– Przyjmuję tylko twardą gotówkę lub kosztowności – wtrącił Handlarz.

Gospodarz przymknął oko na te wtrącenie.

– Zamelduj skarbnikowi, że ma przygotować pięćset monet i kolejnych siedemset.

– Tak jest. – Odwrócił się na kopytku ogier, po czym wyszedł z pomieszczenia.

Niezręczna cisza trwała przez dłuższą chwilę.

– Czemu nie przyjmujesz czeków? – zapytał w końcu jednorożec.

– Cóż, to proste. Ciągle jestem w podróży. Czek może miałbym czas wypłacić, ale specjalne chodzenie po urzędach czy bankach średnio mi się uśmiecha. W mojej pracy czas jest bardzo ważny i wolę go oszczędzać. Poza tym, najbardziej lubię kosztowności. Je można wymienić w każdym zakątku świata. A чеки czy monety z odległych krain, już niekoniecznie.

Czekali jeszcze parę minut.

W końcu do pomieszczenia wszedł elegancko ubrany jednorożec. W magicznym uścisku trzymał dwie walizki.

– Witam, panie. Witam, szanowny gościu – przywitał się z całą swą gracją, kładąc trzymane rzeczy na stole.

– Są podpisane jak zwykle – zakomunikował. – Panie, jeśli masz wątpliwości, proszę sprawdzić.

Te faktycznie były podpisane. Konkretnie, po wartości pieniędzy zawartej w nich.

– Nie, dziękuję. Proszę zostawić nas samych.

– Jak sobie życzysz, mój panie – skarbnik uklonił się i wyszedł, przypadkowo trzaskając za sobą drzwiami.

– Proszę, oto pierwsza walizka – gospodarz podał Handlarzowi przedmiot, opatrzony podpisem „500”. – Obyś nie zawiódł... I nie... – chciał dodać, lecz spojrzenie Handlarza skutecznie przypomniało mu o jego groźbie i jednoczesnej obietnicy.

Kucyk ziemski szybko przejrzał wewnątrz, stwierdzając, że wszystko się zgadza. Wstał od stołu.

– No dobrze... Jak będę czegoś potrzebował, to się zgłoszę. Na razie znikam – powiedział, po czym wskoczył w komin, który nagle wybuchł płomieniami. Pochłonięte przez ogień drewno w przedziwny sposób zostało odbudowane z ciała tajemniczego kuczka.

Znów przyjemnie zaskwierczał ogień, lecz po Handlarzu nie było śladu. Skołowany tym spotkaniem jednorożec w milczeniu gapił się w kominek

[Następny rozdział](#)